



JAKŻEŻ zazdroszczę wam, czytelnicy ISKIER i wogóle młodzieży dzisiejsza! Jakżeż dla was jest wszystko ułatwione; o ileż są zwiększone możliwości wszelakich uciech! Gdy widzę te liczne gromadki nie tylko młodzieży, ale dzieci nawet, wędrujące po kraju, zaopatrzone w plecaki, manierki, no a przedewszystkiem w mapy i przewodniki, korzystające z ułatwień kolejowych, gospód, domów wycieczkowych, i wspominę swoje młode lata, to żal mię chwytą, że dla nas, swego czasu, tego rodzaju przyjemność była mało dostępna, a gdy się nareszcie człowiek na nią zdobył, to w jakichże warunkach się odbywała!

Pierwszą większą wycieczkę pieszą odbyłam dość dawno, bo chyba w 1905 roku. Pod koniec roku szkolnego w grupie, blisko żyjącej ze sobą, powstał projekt urządzenia większej pieszej wycieczki. Teraz to rzecz zupełnie naturalna — ale wówczas projekt nasz spotkał się z protestem ojców, matek, cioc i wujów, bo „jeszcze nie było wypadku, żeby chłopcy i dziewczęta odbyli wspólną kilkudniową wycieczkę“. Doprowadzenie naszego zamiaru do skutku zawdzięczamy jednemu „Wujowi“, ale to przez duże W. Tego wuja znacie, czytelnicy ISKIER z jego artykułów w ISKRACH, z jego książek, no i z jego pracy, bo to twórca ruchu wycieczkowego u nas w kraju — p. Aleksander Janowski.

Jego to wstawiennictwo przeważyło szalę na naszą korzyść. Marszruta nasza obejmowała Puławę, Kazimierz, Nałęczów i Lublin, jako najdalszy punkt naszej wycieczki.

Energicznie przystąpiliśmy do przygotowań, które, co prawda, były niewielkie. Nasz ekwipunek turystyczny był nader skromny. Czy dacie wiarę, że tak rozpowszechnione dziś plecaki, były wówczas prawie niezbrane, w każdym razie na prowincji nie spotykano się z nimi. To też każdy z nas zaopatrzył się w torbę, przewieszoną przez ramię, podobną do obecnych chlebaków. Dzisiejsi wycieczkowicze niech oceniają, jak to było wygodnie chodzić z taką wypchaną torbą u boku. To samo można było powiedzieć i o reszcie naszego rynsztunku: ani ubranie, ani obuwie nie było dostosowane do wymagań wycieczkowych, więc też zczasem dało się nam srodze we znaki.

Było to, o ile mnie pamięć nie myli, w sierpniu. Wyruszyliśmy do dnia wielkim drabiniastym wozem, który miał nas dostawić do Końskowoli, a stamtąd już mieliśmy wędrować pieszo. Po dziś dzień niezapomniane są dla mnie uczucia, z jakimi oglądaliśmy w Końskowoli nagrobki i tablice poety Franciszka Książczyna, ks. Franciszka Zabłockiego, którego „Fircyk w zalotach“ zachwyca nas ze sceny teatralnej, i wielkiego pedagoga, ks. Grzegorza Piramowicza. Każde z nas przypominało sobie, co wie o tych zasłużonych Ojczyźnie obywatelach, aby skleić jakąś całość. Bo przecież nie mieliśmy żadnego obszerniejszego przewodnika. Jedynym źródłem informacji była książeczka wspomnianego już wyżej Al. Janowskiego: „Wycieczki po kraju“. Nie mieliśmy też żadnej mapy.

Przecież to były jeszcze czasy panowania rosyjskiego u nas, gdy mapy było bardzo trudno dostać, a posiadanie jej, jak również posiadanie aparatu fotograficznego, mogło nas narazić na nieprzyjemne w konsekwencjach rozmowy z przedstawicielami władzy administracyjnej. Wogóle, w czasie wycieczki unikaliśmy starannie zetknięcia się z władzą i jakoś powiodło się nam pod tym względem.

Z Końskowoli ładna, ocieniona szosa doprowadziła nas do Puław. Od szosy lipami wysadzona aleja, tak piękna, że obecnie została ujęta prawnie pod ochronę, jako zabytek przyrody, powiodła nas ku pałacowi, ongiś rezydencji ks. ks. Czartoryskich.

Z ciężkiem sercem i pewną obawą zbliżaliśmy się do tego wspaniałego gmachu. Przypominaliśmy sobie czasy jego świetności, gdy, jak jasna latarnia, promieniował na cały kraj, gdy staliśmy gośćmi bywali tu tacy ludzie, jak ks. Paweł Woronicz, ks. biskup Naruszewicz; gdzie czerpał wiedzę i otrzymał wychowanie cały zastęp kobiet, między niemi Klementyna Tańska, późniejsza Hofmanowa. A teraz — w murach tych mieściła się, co prawda, też uczelnia — ale uczelnia obca z ducha i języka — agrominiczny i leśny instytut, posiadający profesorów i większość słuchaczy — Rosjan.

Jakoś jednak udało się. Zobaczyliśmy i piękne zbiory przyrodnicze i bogatą bibliotekę i pracownię. Jednakże z uczuciem ulgi wynieśliśmy się do parku, aby tu pośród wspaniałego starodrzewu podziwiać Domek Gotycki i Świątynię Sybilli, obie budowle fundacji ks. Izabeli Czartoryskiej, wystawione dla pomieszczenia pierwszego muzeum pamiętek. Natomiast koło pięknego pałacyku „Marynki“ (Marji z Czartoryskich ks. Württembergiej), stojącego poza parkiem, przemknęliśmy tylko, bo był on siedzibą rosyjskich władz instytutu puławskiego, czyli oficjalnie „nowoaleksandryjskiego“.

Przez Mokradki i Włostowice poprowadziła nas szosa ku Kazimierzowi. Niewiadomo było, na co patrzeć, czy na prawo — na wijącą się po dolinie Wisłę, czy na lewo na niewysokie, bujną roślinnością pokryte, a licznymi wąwozami pokrajane zbocza wyżyny lubelskiej. To ostatnie jednak bardziej nas pociągało, to też po dojeździe do Bochtownicy skręciliśmy odrazu ku górze, ku ruinom t. zw. zamczku Esterki i stąd już polnemi drogami, a właściwie wąwozami, dotarliśmy na wieczór do Kazimierza.

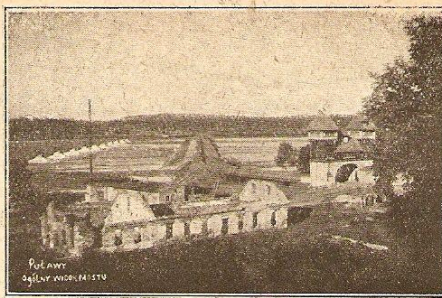
Pierwszy nocleg wypadł w stodole, dość skąpo wyposażonej w słomę, to też odrazu dały się odczuć braki w naszym rynsztunku podróżniczym — jakieś lekkie i krótkie palta czy żakiety nie ochraniały przed chłodem pogodnej nocy sierpniowej. Ale, ponieważ młodość radzi sobie ze wszystkim, to też przespałiśmy tę noc jednym tchem, wydała się nam ona nawet za krótka, gdy nawoływanie kierownika podniosło nas na nogi.

Od samego rana — zwiedzanie Kazimierza, a jest tu co oglądać. I stare kościoły z podziemiami, i kła-

sztory o długich korytarzach, i przepiękne kamienice renesansowe, ozdobione z przeplechem, świadczącym o możliwości ówczesnego mieszczaństwa; i wielkie, króla Kazimierza Wielkiego pamiętające śpichlerze, obecnie w ruinie, i na górze ruiny zamku królewskiego, a w pewnej oddali baszta, owiana legendą o Maćku Barkowicu, skazanym na śmierć głodową w jej głębokich. A wszystko to tonęło w zieleni ogromnych sadów sliwkowych. W czasie zwiedzania kręcił się koło nas miejscowy przewodnik (jedyna chyba wówczas miejscowość w Kongresówce, która posiadała przewodnika), stary chałatowy żyd, dumny nadzwyczajnie z tego, że „pan Janowski napisał o nim w swoim przewodniku”.

Po południu wyprawa na drugi brzeg Wisły do Janowca, którego ruiny pociągały swoją wielkością i stosunkowo dobrym stanem — wówczas było jeszcze widać malowidła na kilku ścianach. Przy przeprawie przez Wisłę o mało co nie spotkała nas katastrofa — groziło utonięcie, ale nie w wodzie, tylko w piasku. Przewoźnik wyrzucił nas na mieliznę, twierdząc, że dochodzi ona do ładu. Rzeczywiście tak było, tylko miejscami piasek był tak przesycony wodą, że ugiął się pod nogami, jak guma, a jak klej przytrzymywał nogę, z chwilą, gdy ta się zagłębiła. Po zwiedzeniu Janowca, pod wieczór wyruszyliśmy z Kazimierza w drogę w kierunku Nałęczowa.

Możeby się i chciało posiedzieć jeszcze w Kazimierzu, ale program był ułożony z góry, a wybrany przez nas kierownik — bardzo srogi — i — wymarsz nastąpił. Nie obyło się tym razem bez pobłądzenia — nie mieliśmy przecież map — to też dopiero koło północy dobrnęliśmy do jakiejś wsi. Ciężko było zdobyć nocleg. W tych na uboczu leżących wioskach ludność nie wiedziała, za kogo nas brać. W pewnym miejscu, naprzykład, po głębokim namyśle doszli do przekonania, że jesteśmy bandą próżniaków, która nie ma nic do roboty i włóczy się ot tak dla zabicia czasu. Smętny był nocleg, ale jeszcze smętniejsze przebudzenie: niebo zaciągnięte chmurami i pada deszcz, niewielki, co prawda, ale musiał padać już dość dawno, gdyż droga przedstawiała obraz rozpaczliwy. Kto z was, szanowni czytelnicy, nie zna

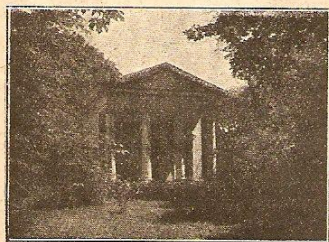


Most na Wiśle pod Paławami.

do Wąwolnicy — zachęcił nas do zatrzymania się ciekawie wyglądający kościół, stojący na pewnym wzniesieniu nad potokiem Bochoćnicą. Wchodzimy, trafiamy akurat na nabożeństwo — kłękamy, stoimy — tylko nikt nie ryzykuje usiąść — ubranie jest na to za mokre. Wkrótce koło każdego z nas tworzy się wielka mokra plama.

Pocieszaliśmy się nadzieją, że może ksiądz proboszcz, odprawiający nabożeństwo, zauważy nas nieboraków i, zdjęty litością, poczęstuje herbatą — co było i z tego powodu bardzo pożądane, że jak inspekcja pokazała — tego kordjału nie można było dostać w miasteczku. Tymczasem sprawdziło się przysłowie, że „biednemu wiatr w oczy“, nie zwróceno na nas uwagi — nie zaproszono nas — no i wobec tego, zziębnięci, opuściliśmy czempredziej progi niegościnnej Wąwolnicy, kierując się do Nałęczowa.

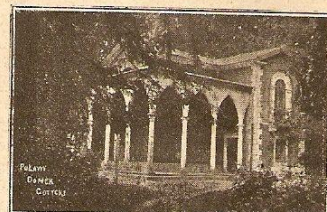
Sytuacja polepszyła się o tyle, że przestało padać i nawet ukazało się słońce, ale droga była ciężka. Wkleiliśmy się, bo trudno to było nazwać marszem i — jakoś popołudniu doszliśmy do parku zakładu kuracyjnego w Nałęczowie. I tutaj dopiero zaczęła się sensacja — liczni bardzo kuracjusze, postrojeni elegancko, patrzyli z przerażeniem na gromadkę przemokniętych i zbłoconych postaci. Ale jakoś zaraz zdobyliśmy sympatję: — zaraz znalazło się kilka osób, które się nami zaopiekowały, co prawda, spotkaliśmy też i osobistych znajomych. Chłopcy poszli na jedną kwaterę, my, dziewczęta, na drugą — przypuszczam, że jednak obydwie kwatery przedstawiały jednakowy obraz: pośrodku wielka balja, w której od ręki płókało się zbłocone części ubrania, i kilka żelazek, któremi suszyło się zmoknięte szaty; ubrań zapasowych nie mieliśmy. (CDN).



Park w Paławach.



Świątynia Sybilli.



Domek Gotycki.